

Płock, koniec świata i oszustwa księży

23 maja 2015

Niektóre mechanizmy nie zmieniły się pomimo upływu setek lat. Jednym z nich jest straszenie ludzi wizją końca świata, aby w ten sposób przywłaszczyć sobie ich majątek. Jeden z takich wypadków miał miejsce w przedwojennej Polsce i z zapałem był opisywany przez prasę brukową.

Koniec świata miał nastąpić 1 sierpnia 1925 roku. W Polsce jako pierwsze miała zostać zniszczona stolica. Ogłosił to arcybiskup Jan Maria Michał Kowalski, duchowny mariawityzmu, odłamu chrześcijaństwa stojącego w opozycji do katolicyzmu. Jego apel trafił do wielu zwolenników zapisanych w mariawickiej księdze żywota, którzy razem z rodzinami i majątkiem udali się do Płocka. Wśród nich była również Maria Kazimierzowska, która później wytoczyła proces sekcje.

Mariawityzm to rdzennie polski nurt w chrześcijaństwie, którego początek dać miały objawienia Feliksy Kozłowskiej z 1893 roku, zaś samo wyznanie uformował Jan Kowalski. Odrzucenie nauki Kościoła katolickiego zaowocowało uznaniem dogmatów za pewnego rodzaju drogowskazy tego jak powinno się żyć. Taki pogląd zwrócił uwagę Watykanu, który w 1906 roku ekskomunikował twórcę mariawityzmu, a wspólnotę uznał za heretycką.

Nie przeszkodziło to jednak w działalności mariawitów, którzy pod przewodnictwem swojego arcybiskupa Kowalskiego rozwijali klasztor w Płocku.

Jedną z członkiń wspólnoty od 1924 roku była właścicielka sklepu kolonialnego z Warszawy Maria Kozłowska. Przez rok wpłacała po 2 złote srebrne od osoby miesięcznie na rzecz płockiego zakonu. Kiedy w 1925 roku doszły ją słuchy, że ogień niebieski zniszczy stolicę, zwróciła się do arcybiskupa z

prośbą o pomoc, poza sklepem posiadała bowiem męża oraz syna i dwie córki. Kowalski dał jej taką oto radę: „O wiele rzeczy się troszczymy, ale mało nam potrzeba. Jak Warszawa zginie pełno będzie różnego dobra. Sprzedaj sklep, porzuć męża i przyjeźdź do Cegłowa (jednej z placówek mariawityzmu)”.

Jak jej poradzono tak postąpiła. Odprowadzana oskarżeniami o herezję rzucanym przez porzuconego męża, z dziećmi i tobołami udała się do klasztoru.

Tam spotkała ją niespodzianka. Początkowo miała trafić na wieś do Felicjanowa, jednak córka się zbuntowała, ostatecznie więc zakwaterowano ją razem z diatkami w klasztorze. Tam po miłym przyjęciu zapytano ją, czy posiada jakieś pieniądze i czy może pożyczyć 700 złotych. Kozłowska zgodnie z prawdą przyznała, że dysponuje taką kwotą i może ją pożyczyć. Dzięki gładkim słówkom arcybiskupa ostatecznie zostawiła w kancelarii klasztoru 1200 złotych, czyli cały swój majątek. Zyskała tym aprobatę niejakiej siostry Walickiej, która stwierdziła, że tym bogobojnym uczynkiem zwiększyła swoje szanse na przetrwanie końca świata.

Czyn ten rozsierdził jej nastoletnie potomstwo, które rozpoczęło nagłą agitację na rzecz powrotu do domu i porzucenia niepewnej religijnej sekty. Mariawitom było jednak ciągle mało i zaczęli rozpytywać Kozłowską, czy jej dzieci też posiadają jakieś pieniądze. Okazało się bowiem, że syn dawnej właścicielki sklepu posiada 1400 złotych odłożone na samochód. Młody człowiek miał ambitne plany, aby po uzyskaniu pełnoletności zakupić używany samochód i zostać taksówkarzem.

Na wieść o tym mnisi zaczęli snuć plany przejęcia tego niemałego majątku. Dzieci Kozłowskiej osiągnęły jednak swój cel i po sześciu tygodniach przekonały matkę do wyjazdu z klasztoru, po wcześniejszym odebraniu pożyczonych Kowalskiemu pieniędzy. Kozłowska postanowiła wprowadzić plan w życie.

Kowalski i jego współpracownik Feldman pozornie zgodzili się

na to, jednak w rzeczywistości mieli własne plany. Pod nieobecność Kozłowskiej włamali się do jej pokoju i wynieśli jej majątek kradnąc przy okazji pieniądze syna, zaś kobietę razem z dziećmi wyrzucając z klasztoru.

Arcybiskup Kowalski znany był polskiemu wymiarowi sprawiedliwości jako odszczepieniec od wiary katolickiej, przeciw któremu prowadzone były procesy o bluźnierstwo. Swego czasu napisał bowiem tekst o Starym Testamencie, który zgodnie z polski prawem uderzał w religię katolicką. Ciężyły też na nim oskarżenia o wykorzystywanie seksualne dziewcząt przebywających na terenie klasztoru. Podczas procesu o tym aspekcie działalności arcybiskupa Kowalskiego wspominała również córka Kozłowskiej – duchowny miał ją całować w usta i „robić inne rzeczy”, o których dziewczyna wstydziła się opowiedzieć przed sądem. Najważniejsza sprawa dotyczyła jednak wyłudzenia pieniędzy od Kozłowskiej. Po trzech procesach sąd ostatecznie ogłosił, że duchowni byli winni i arcybiskup Kowalski razem z Feldmanem mieli zapłacić łącznie 1100 złotych grzywny.

W trakcie procesu wyjaśniło się na co duchownym były potrzebne pieniądze – otóż nazbyt dosłownie przejęli się oni głoszona przez siebie wizją końca świata i zaczęli żyć ponad stan. Podczas procesu o. Tołpychowicz, jeden z członków zgromadzenia, zeznał, że dzienny koszt utrzymania klasztoru wynosił niebagatelną kwotę 5000 złotych. Żyć musieli naprawdę ponad stan, bowiem kilogram ziemniaków w Warszawie w tym czasie kosztował zawrotną kwotę 11 groszy.

Sprawa „gniazda rozpusty”, jak gazety ochrzciły sprawę płockiego klasztoru, rozgrzewała polską opinię publiczną przez kilka dni. Sprawę śledził między innymi endecki „Wieczór Warszawski”, który wyraźnie czerpał przyjemność z naświetlania sprawy sekty. Przytoczyłem ją, bo zawsze miło jest wiedzieć, że i nasi dziadkowie byli naciągani na podobne sztuczki jak dzisiaj.

Autorstwo: Paweł Rzewuski

Źródło: Histmag.org

Licencja: [CC BY-SA 3.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/)